

# PRZEGŁĄD SOKOLI

ORGAN OKRĘGU I (KRAKOWSKIEGO)

POLSKICH TOWARZYSTW GIMNASTYCZNYCH SOKOLICH

Wychodzi raz w miesiącu.

Prenumerata roczna 3 kor. Numer pojedynczy 30 hal. — Komunikaty handlowe: jednoszpaltowy wiersz 20 hal.  
Redakcja i Administracja: Kraków, ul. Wolska L. 27 (Gmach Sokoła).

## DOKĄD IDZIEMY?

W Sokolstwie budzą się nowe prądy, nowe dążenia.

Idą od dołu, a coraz mocniej, z naporem. W postaci czy dopiero zamiarów, czy już dokonanych faktów, ogarnęły ogół Sokoła, stawiając mu nowe wskazania, lub pytając o nie. Zrazu nieśmiało, momentami, i oderwanymi ale już i w tej fazie znaczącymi szczegółami, — później wyraźnie, ciągle i z ujęciem całości.

Całych lat sześć to się dzieje.

Okres to dość długi, aby pewne zadanie lub urządzenie zmienić, przerobić, ulepszyć, — całe reformy, wielkie, społeczne, może państwowe przeprowadzić, — nawet z gruntu nową ideę stworzyć i w większej części spełnić; za długi, aby go strawić na samem, mówiąc politycznie — doświadczeniu i zdawaniu sobie sprawy, otwarciej — przypatrywaniu się wypadkom naprzód obojętnie, potem nieporadnie. Gdyby kto doprawdy chciał na nowo dowodzić, że Sokół potrzebuje naprawy, sam fakt tej kilkuletniej bezradności będzie tu niezbitym dowodem. Organizacya członków i Towarzystw, nibyto silna, jednolita, zwarta, przeżywa fazę zwątpień, wchłaniania odruchowo nowe pojęcia i kierunki, a oto nie umie zdobyć się na sprawdzenie ich w sobie, na ocenienie wartości tychże i — w konsekwencji albo sankcjonowanie, albo odrzucenie ich. Co było, zachwiało się, łamie, rozpada, zapanował zastój, bezwład, chaos i niepewność, — a my niezdolni stoimy, rozglądamy się, — oto Organizacya Sokoła, oto dzisiejsze położenie.

Gdzie szukać winy lub przyczyny? Czy u Związku, jako tego stopnia i czynnika organizacyi, który ma łączyć i skupiać wszystkie owe nasze dążenia i opinie, — ale wszak nie dla samej wiadomości tylko i historii, jeno dla regulowania ich i urzeczywistniania; — czy szukać u ogółu, u samych siebie, w założeniach i przesłankach, na których odbywa się ewolucya, a które może są fałszywe, zdradne? Na oba podłoża wejść musimy, obydwu zadać pytania. Trudno pociągnąć różnicę między ogółem Sokoła a Związkiem; bo tym związkiem to my sami, — jakim go mieć chcemy, na jaki nas stać, takim go mamy. Nie w celu stwierdzenia winy, bo to nam nie pomoże, ale dla poszukania zła i ratowania się od niego, należy na obie strony porachować się. Wysnuje się zresztą może z samej rozprawy niniejszej wyraźniejsza różnica między wspomnianymi dwoma czynnikami, — a z nich wypadną i odpowiednie wnioski.

Będzie niezawodnie takie otwarte przyjrzenie się sprawie razito, silne dotknięcie będzie bolało, — lecz chciejmy — na honor — się otrząść z dziwnego stanu, w jaki powoli zapadamy, — chciejmy przynajmniej zrozumieć, czy wpadamy weń z naszą wolą lub wbrew niej, czy chociaż wiemy, co się z nami dzieje!

Szukajmy, rozważmy, co jest; — przypomnijmy, co było, a o czem się myślało, że będzie. Jakieżto były myśli, jakie nastroje, — czyżby tak tylko rzucone sobie wrywki, nowości, zachcianki? Towarzystwa mające za sobą doświadczenie, zdobycze, zasługi; poszczególni pracownicy i całe ich grupy, których umysł i ręka w zakresie mniejszym lub szerszym Sokoła prowadziły, rozwijały, dźwigały, ale go zarazem przeżywały i poznawały, — po latach 20. zaczęły sobie rzucać pyta-



nie, czy instytucja doszła tam, dokąd powinna, — czy budowa skończona i celowi odpowiada. I zaczęło się, bo to naturalny porządek rzeczy, bo to najbardziej i nasamprzód wpada w oczy, od oglądania i oceniania cech zewnętrznych. I dojrzano rysy, niedokładności, nieharmonijność, kruchość. Zatraskano się o usunięcie ich, poprawę, ulepszenie. Przytoczymy z nich najważniejsze, te, które zwracały uwagę całego Sokolstwa, omawiane już i dawniej w *Przeglądzie*, bo były przedmiotem rozważań i dyskusji po Gniazdach, Okręgach, rozbierane na różnych zebraniach, opiniowane lub przygotowywane w Związku, wreszcie na obradach naszych ogólnych Zjazdów.

Więc kilkakrotnie stawiane żądania o wprowadzenie obowiązkowości w ćwiczeniach sokolich, z wyznaczeniem nawet dla niej pewnej granicy wieku.

Więc zaostrenie karności dla władz swoich, sprecyzowanie przepisów i rygoru na wykroczenia.

Ponawianie kwestyi przyjmowania i ślubowania członków.

Kilkakrotne wnioski na zmianę munduru.

I tak samo, a identyczne źródło mający, spór o formę i charakter naszych publicznych występów.

Przemyśliwanie i wołanie o gniazda włościńskie.

Oto garść spostrzeżeń i postulatów, ale jakże doniosłych, sięgających w głąb ustroju, a przez ten pociągających rozszerzenie lub zmianę kierunku niejednego. A jak zachowaliśmy się wobec nich? Pozwoliłszy im przeslizgnąć się po nas, jak po gładkiej tafli, gdzie nie ma potrzeby ryć nowych znaków, bo dawne napisy wystarczą, chociażby były nieczytelne lub nieczytane.

Toż odrzuciliśmy myśl określenia obowiązkowych ćwiczeń, uczynienia z nich „służby“. My umieli z zapałem i patosem o tej służbie sokolej gadać, ale jej nie było, bo bez zasady „musu“ na świecie nie ma służby. Będzie poczucie, będzie obowiązek, ale nie służba. A my przecież — zdawało się — o niej marzyli. I to jedno przyjęcie mogło zmienić naszą postać do gruntu, przetrworzyć „zakład“ na „organizację“; niestety nie rozwinęło należycie owej myśli, lub my ją zapoznali. Woleliśmy zostać nadal przy spełnianiu „zadania“, bo to dogodniej i... nikogo nie obowiązuje.

Toż przechodzimy do porządku nad kwestyą przyjęcia i przyrzeczeń członków Sokoła. Przesadę, parady widzieliśmy w tem, co miałyby nas odróżniać od kasyna, klubu, gdzie karta wpisu wystarcza. Za niewłaściwe uważaliśmy, by nowy ochotnik dawał się poznać i nas poznać, by odebrał nasze zlecenie a ofiarował swe chęci i służbę. Jaką służbę, gdy jej nie było — pytam sam siebie i zapytałby każdy, — cóż miał przyrzekać, czy znów samo poczucie — i odbywać z niego spowiedź, — gdy nie widział ani potrzeby ani prawa podobnego żądania? Lecz tak wówczas my rozumowali, a któreto rozumowanie zdawało się słusznem; więc też w innem stawianiu roli nowo zacieźnego

członka widzieliśmy blichtr, gdy go owszem pełno było w innych naszych słowach i czynach. Nie uważaliśmy za stosowną a może i utylitarną rzecz wymagać tej roli od kogoś, jak to się mówi, na stanowisku, wprawiać go w kłopot, — i dla tych kilku jednostek o całe szeregi ludzi młodych, garnących się do nas, nie dbaliśmy. Dlaczego my przy owych niedoszłych projektach nie zadali sobie pytania, na kim Sokół stoi; nie zreplektowali się, że co innego zyskiwać członka i odbierać wkładkę, a co innego przyjmować Sokoła... O „zakonie“ mówić z emfazą to umieliśmy, ale jego najprymitywniejszych reguł przestrzegać to — nie trzeba.

Toż dalej ma zostać strój dla stroju. Bo taki piękny, tradycyjny, tak w nim dobrze wypada reprezentacya. Ma być uroczysty, a praktycznym — bo wszak o to przy żądaniu zmian upominano się, lecz na potrzebę tej praktyki zamykano lub robiono zdumione oczy — nie musi być; więc i do uroczystości bez wątpienia wystarczy. Nie doszło więc teraz do czegoś na opak, do góry nogami: że kto mundurowy, ma prawo do szeregu, a nie — jak powinno być — że kto staje do szeregu, ten ma prawo do munduru. Ale zato byliśmy radzi, że ten i ów każdy przyodział mundur i poszło nas więcej — na mszę do kościoła...

Więc tym samym tokiem myślenia ani rusz pogodzić się z występm skończonym, wyćwiczonym, umiejętnym, „pod komendą“, a raczej bronić pokażnej procesyi z chorągwią i „pod opieką“. I toczono spór to na podstawie regulaminów, to wprowadzonego zwyczaju, o formę, o pozory, a nie dostrzegano — ach nie wierzę w to, dostrzegano ale chowano się przed coraz wyraźniejszym faktem — iż różnica tkwi głębiej, że potęguje się coraz bardziej rozdzźwięk między prezesem a naczelnikiem, ten nazwany w ostatnich czasach „dualizm“. Dlaczego go dotąd nie było, wszak nie z powodu innych osób, ambicyi, kolizyi? Nie, to z owych idących głębszych pożądań, gdy zmianom lub przeobrażeniom nie daliśmy miejsca czy ujścia, — powstał wir i w poglądach i w wykonaniu zakresów władzy z początku co do szeregów, potem i co do różnych innych czynników i dziedzin sokolich. Radzono: pochód, czy marsz, — a nie rozstrzygano, do czego mamy prawo. Czytałem określenie: „prawda jest to, co jest“. U nas tej prawdy nie było. Zwolennik marszów, dziś z pokorą przyznaję, że nasze występy, niiby wojskowe, kłamały, dawały to, czego wewnątrz nie było; naszym pojęciom i kierunkowi odpowiadała reprezentacya, ciągle reprezentacya, — a nam niektórym zachciewało się innej roli...

Wydobyliśmy też raz ów postulat karności; a co żądanie to znamionowało? Wszak one niiby zasadą naczelną i w zadaniach i w ustroju naszym. Więc nie o pogłębienie jej szło, — ale widziało się pęknięcie budowy, coraz silniejsze rozstrajanie. I wynaleźliśmy sposób naprawy przez uchwałę „posłuszeństwa prezesowi zawsze i wszędzie“. Więc ten prezes wróciwszy do



Gniazda miał wskazać jedynie na brzmienie uchwały, nie umiając usprawiedliwić, w imię czego i w jakim celu ma wymagać posłuchu dla niej. Więc został z brzmącą uchwałą, a karności trzeba było szukać chyba w kółku zapaleńców lub w gronie ćwiczących, gdy naczelnik potrafił ich skupić i wpręgnąć do zadania konkretnego, do pewnego trudu, wysiłku, a choćby popisu. Ten sam zamęt, klócenie się dotychczasowych pojęć z odczuwanymi nowymi potrzebami, wyciskały swe piętno także na karności. Przestaliśmy poznawać, jedni prezesów, drudzy naczelników — nawet najstarszych, w pełnej służbie (bo przecież jakaś służba była!) nawet w występach na zewnątrz, uroczystych, ćwiczebnych, przy których objawia się przecież cały nasz charakter, gdzie idą rozkazy, gdzie karność aż się sama prosi, a gdzie trzeba było za nią się wstydzić. Jak tam „trójką na czele“, tak tu uchwałą o powinnej karności chcieliśmy sztukować to, co się u podstaw targowało i psuło.

Na wieś mieliśmy niby iść, — z czym? Trzeba było stworzyć jakiś system gimnastyki, dostosowany do życia, potrzeb i upodobań wieśniaków, dobrać dalsze zadania, nadać odpowiedni ustrój; a my zdołaliśmy im rzucić kilka naszych szablonowycio ćwiczeń, wysunąć zasadę jednakowego stroju (o to przedewszystkiem dbaliśmy). Całokształtu instytucji, wyraźnej celowości, nie stworzyliśmy i nie dali im. To też wiele z tych Gniazd zaledwie z imienia istniało, po krótkim szukaniu sobie jakiegoś przecież celu pozytywnego, po kilku zdobnych uroczystych występach — czując swą beztreść, pustkę, zamierało. Pozostały chyba nieznaczne we wschodniej części kraju, gdzie z rozbudzonej świadomości narodowej a wobec drugiej tam narodowości samem imieniem i pobudką mogą dłuższy czas istnieć nawet w tej postaci, niezupełnej i niewystarczającej już w stosunkach środkowej i zachodniej części.

Do wielotysięcznej rzeszy robotniczej — to trafić już nie tylko nie mogliśmy, aleśmy nawet nie usiłowali, — ani jednej próby nie przedsiębraliśmy, dlaczego? Z tego jednego pytania powstałby już mogła wątpliwość co do idei Sokolej. Jeśli nawet zważymy te wszystkie przeszkody i warunki, jakie wskutek klasowego oddzielenia się tej warstwy nie tylko politycznie ale i społecznie, muszą utrudniać wszelkie prawie współdziałanie, — to przecież niemożliwym jest wyprzeć się jego już raz na zawsze. Wszak pomimo różnic i waśni, jakie po większej części sztucznie i pozornie wyszukiwane bywają, między tą klasą robotniczą a średnią (która dała podstawę Sokolstwu), znajduje się dość stycznych, znajdzie jakiś wspólny ideał i wspólna robota dla spełnienia jego. Ale też — powiedzieć to sobie należy — do tamtych, wciągniętych już do silnych organizacyi, wierzących w czyn bliski bezpośredni — nie wystarczy przyjść z samem hasłem i gestem a choćby zadaniem pożytecznem lecz nie

wymagającym owej wspólności, nie trzeba przeprowadzać niwelacyi ogólnie społecznych poglądów i dążeń, odwozić się nawzajem od tych czy tamtych pojęć, kierunków i środków na różnych polach, — bo te spory i walki i tarcia w każdym społeczeństwie być muszą i będą. Ale należy im przedłożyć coś mocnego i jednego w treści i formie, do czego wspólnie zorganizować się i postawić rzeczą sumienia każdego będzie.

Nie zajmowaliśmy się niestety tą kwestyą, i ja nie myślałem jej teraz poruszać, ale przypomniałem sobie nasze wołania „szerzej“ — „głębiej“, gdy naprawdę nie mogliśmy, nie wiedzieliśmy, czy i jak do tego rozszerzania i pogłębiania zabrać się.

Takie to były spostrzeżenia, rozważania i troski o przyszłość Sokola, — i tak z niemi załatwialiśmy się, my wszyscy, chyba, że jedni z cięższem, drudzy z lekkim sercem.

Ale, — próbujmy przecież jakoś usprawiedliwić się, — może powiedzmy, że były to obserwacye poszczególne, wnioski oderwane, dyskusye teoretyczne; niedostatecznie poparte i nie podające konkretnych sposobów lub środków innego działania. A tu wszak rozwój Sokolstwa postępował i zaznaczał się coraz bardziej. Świadczyła o tem nasza statystyka, podająca coraz większą liczbę Gniazd, członków, ćwiczeń, budynków, sztandarów, obchodów, zebrań towarzyskich; stwierdzały to nasze Zloty, ten zewnętrzny objaw naszej siły, — dowodziła tego wzajemna zachęta działaczy sokolich w podjętej pracy i dalszem prowadzeniu jej. Czyż można było dla pewnego braku, błędu, choćby wcale ważnego, przeinaczać robotę, przebudowywać, może zepsuć co się zrobiło? Ma się za sobą tradycyę, dorobek, — a tu ktoś okazuje niewyraźne rysy, mgły fantasmagoryi. Tak przyjmowaliśmy i oceniali owe głosy, refleksye — może to będzie naszym usprawiedliwieniem.

Lecz cóż było z drugim objawem ewolucyi naszej, bo przecież zmiany dokonywały się nie przez samo stawianie danych kwestyi pod krytykę, obrady nie toczyły się jeno w ramach dysput akademickich, ale także przez fakta i praktyki w robocie, z których znowu kilka ogólniejszych i wybitniejszych podniesiemy.

Więc nadawanie ćwiczeniom naszym zbiorowym, publicznym, rycerskiej cechy, może tylko symbolu, na przypomnienie przeszłości, obrazami dawnych lanc. I później użycie za przybór do takichże ćwiczeń pałaszów, kos, a za nimi toporków i karabinów — jakby na przejście od wspomnień do chwili obecnej, od broni starej do nowoczesnej i ludowej. A nie tylko w popisach, ale w poznaniu broni i nabieraniu rzeczywistej biegłości kierunek ten objawił się przez coraz to liczniejsze zakładanie strzelnic i uprawianie szermierki.



## NA SOKOLIM JUGU

(II. Złot w Zagrzebiu 1911 r.)

(Dokończenie).

### Raut Pań.

Na „Raut Gospodja“ udaliśmy się z Maximiru po odpowiedniemu uporządkowaniu naszej sokolej toalety. Nauczeni doświadczeniem rozumieliśmy, że zaproszonym na godzinę 9 nie wypada inaczey przybyć jak o godzinie 9. Taki to już błąd Chorwatów, że są punktualni. Zabawne zdarzenie na ten temat w swych reminiscencyach o uroczystościach Grunwaldzkich, opowiadał nam później p. Janko Heljac, gdy jako prezydent Zagrzebia bawił w Krakowie: „Zaproszony na raut do starego teatru na godzinę 9, udałem się, ze względu na szacunek jaki byłem winny zapraszającej mnie reprezentacyi, punktualnie o godz. 9. Na sali nie zastałem nikogo, ale to ni-ko-go. Czekam pół godziny, nie, czekam godzinę, nie, dopiero o godzinie 11 zaludniło się, ale co najciekawsze, kończył p. Heljac, że zapraszający przyszli prawie że ostatni“. — Na raucie, jaki na cześć Sokolstwa wydały panie Zagrzebskie, było o godzinie 9<sup>1/4</sup> pełno i gwarno, panie komitetowe mimo zajęcia się wprost własnoręcznego (jak mnie informowano) urządzeniem rautu, mimo konieczności toalet, były na miejscu, w „umjetnickom pawiljonu“, który odgrywa w Zagrzebiu taką rolę jak n. p. w Krakowie „stary teatr“, już o godzinie ósmej. Ha, co kraj to obyczaj, tylko, że niepunktualność to chyba raczej — nieobyczaj a niestety zakradł się on silnie i w nasze szeregi sokole.

Piękna muzyka, szczerść i serdeczność ze strony pań, ich gościnność ponad wszelki wyraz a przytem, „last not least“ obfitość zastawy, nie praktykowana na naszych n. p. rautach, wywołały nastrój domasznej swobody, bez cienia sztywności, wspólnej niektórym bankietom i rautom o bezdusznej nudzie, gdzie ludzie mimo tłumu czują się osamotnieni, obcy, zapomnieni. Przy stolikach grupowano się narodami: Serbowie z Serbami, Czesi z Czechami, Polacy z Polakami i t. d., wnet te szyki jęły się jednak mieszać, zapraszano się od stolika do stolika, życie towarzyskie zawrzało w pełni, przy stolikach palono mówki, z początku skromne, wnet coraz gorętsze i głośniejsze. Entuzjazm rósł, narodami zaczęto dziękować gospodyniom, każdy na swój sposób. Serbowie i Czesi w uniesieniu obnieśli nawet panie Turkowićową i Holjacową na fotelach po sali. Polacy za propozycją d. Schmidta otoczyli prezesową rautu, panią Turkowićową a po wypowiedzeniu kwiecistej przemowy przez d. Schmidta ukłękawszy, wychylili na jej cześć kielichy i złożyli pocałunek ręki. Ten sposób owacyi znalazł, zwłaszcza u pań ogólny aplauz i zyskał dla Polaków miano ry-

cerskości. Polacy są nieco dumni i sztywni, ale zawsze elegancy i o rycerskich manierach — mówiono mi później.

Narodowy taniec, zwanym „Kolo“ prowadzony przez samego prezydenta miasta, był kulminacyjnym punktem tej nad wyraz miłej, aż do ranka trwającej zabawy.

### Trzeci dzień.

Ranek dnia trzeciego przeznaczony był częściowo na zawody i ćwiczenia próbne, częściowo na zwiedzanie miasta. Polacy zebrali się na boisku a przybrawszy po jednym lub dwóch Sokolów z każdej narodowości, polecili na pamiątkę dokonać zdjęcia fotograficznego.

Przejażdżka po mieście, zwłaszcza po części willowej, zwiedzanie wystawy sokolej, kąpiel w nieco odległej i rwącej Sawie, zakupno pamiątek zagrzebskich, składanie i oddawanie oficjalnych wizyt i t. p. dało dosyć zajęcia, jak na jedno przedpołudnie.

W południe podążyli zaproszeni reprezentanci na lunch wydany przez miasto, poświęcony głównie przedstawicielom miast słowiańskich.

### Lunch miasta Zagrzebia.

Gdy znakomity chorwacki szampan zaperlił się w kieliszkach, witał lordmajor Zagrzebia po kolei reprezentantów Pragi, Paryża, Belgradu, Waryszyna i innych. Brakło jakiegokolwiek reprezentancyi miasta polskiego. Wiemy, że n. p. Kraków, który miał zaszczyt gościć w roku zeszłym reprezentantów miasta Zagrzebia, obecnie, na otrzymane zaproszenie tegoż miasta, wcale nie reagował. Magistrat nasz nie zadał sobie nawet trudu odcyfrować zaproszenia, pisanego rzecz prosta, po chorwacku. Urzędnik, który zaproszenie to otrzymał do ręki, widząc jedynie, że tam coś o sokolach jest wspomniane, przesłał to pismo kancelaryi krakowskiego Sokola. Urzędnik nasz przetłumaczył zaproszenie i odesłał magistratowi z powrotem. Mimo tego, reprezentacja wielkiego stołecznego miasta Krakowa świeciła w Zagrzebiu nieobecnością.

Po przywitaniu i oficjalnych odpowiedziach zdawało się, że program mów jest wyczerpany. Innego zdania był Rosyanin d. Woronow, adwokat z Petersburga, który w dniu tym zlużował nieobecnego już w Zagrzebiu d. Giżyckiego.

D. Woronow wniósł toast na pomyślność ogólnosłowiańskiej idei, w myśl wyrażonej już poprzednio przez d. Giżyckiego pretensyi przodownictwa, należnego narodowi rosyjskiemu jako najsilniejszemu szczerpowi słowiańskiemu. Wnosząc ten toast w ręce d. Scheinera sprowokował d. Woronow odpowiedź, która może nie całkiem po jego myśli wypadła.

D. Scheiner poparł gorąco ideę zbratania się Słowian, wskazał jako przykład ułożenie stosunków między Chorwatami a Serbami i uczynił lekką aluzję do



pójścia za tym przykładem także wśród innych narodów słowiańskich.

Tutaj podjął głos d. Schmidt z Tarnopola i w pięknej, chwilami entuzjastycznej mowie zaznaczył, że Polacy oddali najwięcej krwi ze wszystkich narodów słowiańskich, że mimo to przodują wśród nich w zasadzie równości, uważają się jednak za srodze skrzywdzonych, gdyż pozbawia się ich wolności, języka a nawet religii. Dopiero wyrównanie praw będzie dla Polaków mostem do zgody.

Raz na ten temat skierowane umysły wywołały jeszcze kilka mów ze strony Serbów, Bułgarów i innych. Nie zamieścił też i pan Trylowski, który wszystkich obecnych wzywał po kolei na świadectwo, jak liczny, jak inteligentny, jak bogaty a mimo to jak bardzo uciesniony jest naród ruski.

Czas udania się na ćwiczenia przerwał potoki słów.

### Ćwiczenia.

Publiczności zebrało się nieco mniej niż na pierwszych ćwiczeniach a szkoda, były one bowiem równie a może nawet więcej interesujące. Chorwacka żupa (okręg) Fonowa wykonała piękne ćwiczenia tarczami, poczem wśród ogólnego zainteresowania wykonali Czesi obrazowe ćwiczenia, mające wchodzić w ich program na zlocie w roku przyszłym. Będą one niezawodnie przedmiotem opisu na tem miejscu, toteż szczegóły opuszczam. Po sprawnym występie Bułgarów i Słowenów powtórzono ćwiczenia wolne, w skład których wchodzili Czesi i Chorwaci.

Dalszym punktem programu była Moreszka, odegrana przez druhow z Korezuli. Moreszkę skrócono i szkoda. W strojach ćwiczebnych wypadł ten mieczowy taniec, któremu już w sprawozdaniu z teatru poświęciłem nieco miejsca, bardziej interesująco i kunsztownie aniżeli tam na scenie z całym aparatem teatralnym.

Po ćwiczeniach maczugami sokolic chorwackich zamknęły oficjalną część zlotu ćwiczenia na przyrządach, których sprawności i brawurze już pierwszym razem dosyć nadziwić się nie mogliśmy.

W loży honorowej rozdawały gościom panie: prezydentowa Holjacowa i Niedwiecka (Chorwatka mówiąca znakomicie po polsku), bukieciki z liści i kwiatu lipowego jako symbol jedności słowiańskiej. Trójbarwne wstążeczki bukiecików nosiły napis: Uspomena na zagrzebački Svesokolski Zlet god 1911.

Symbol ten znalazł ogólne uznanie.

Na pożegnanie wydano festyn „u Zboru“. Na dochód oświatowego Towarzystwa Cyryla i Metodego sprzedawały panie kwiaty, bukieciki z liści lipowych i różne fanty. Zabawa, taniec „Kolo“, różnego rodzaju niespodzianki, wynagradzały strudzonych ćwiczeniami Sokolów. Tysiące ludzi posilały się w licznych piwiarniach i winiarniach, jedni zawierając nowe znajomości, inni żegnając się i gotując do rychłego odjazdu.

Miły ten nastrój zepsuła aura. Pogoda dopisująca przez wszystkie dni zagrzebskiego zlotu, opuściła zegrające się rzesze. Burza i rzęsimy deszcz zepsuły zabawę. Kto nie zdążył na czas do tramwaju, został uwięziony w ubikacjach „Zboru“. Ale więzienie to było wcale miłe. Zagrzebianie garnęli do siebie i podejmowali Sokolów z dalsza. Piszący to n. p. stał się łupem niezwykle miłej rodziny d. A. Roginy, delegata zagrzebskiego na zlocie Grunwaldzkim i d. Zlatki Tkaličiča, do niedawna asystenta krakowskiej kliniki okulistycznej. Stoły zestawiano, towarzystwo rosło.

Rozmowa wrzała, obracając się głównie na tle stosunków słowian północy. Niejeden postępek, niejedno słowo zostało wytłumaczone i wyjaśnione, niejedna analogia losu politycznego wyszukana i zrozumiana. A tam na dworcu, gdzie żegnał Polaków zacny prezes związku chorwackiego, działo się podobnie. Dwulicowe stanowisko Rosyan wymagało koniecznie wyjaśnienia, rzekome krzywdy Rusinów odpowiednich komentarzy.

### Odjazd.

Pociąg za pociągiem odjeżdżał, wywożąc Sokolstwo w różne strony. Jednych wprost do domu, innych na wycieczki w urocze okolice Chorwacyi, jak do Płytwickich jezior, do Postojny i t. p. Polacy spieszyli przeważnie ku południu. Wszyscy niemal zbiegli się do Opatji (Abacyi) pozdrowić i zdać sprawę z zagrzebskiego zlotu powszechnie szanowanemu i kochanemu prezesowi krakowskiego Sokoła. Jak rodzina koło ojca, zebrali się, ciesząc się z dobrego, czerstwego wyglądu d. Turskiego. Opowiadaliśmy o przeżytych pięknych chwilach, o fatalnem wrażeniu jakie sprawiło słabe obeślanie zlotu Zagrzebskiego, o nieprzygotowaniach popełnionych przy wysyłaniu delegacji; nie pominęliśmy nawet zdarzenia, jakie się przytrafiło Sokolom na dworcu w Rjece. Kiedy bowiem stanęliśmy na tym progu morza, ongi chorwackim, dzisiaj madziarskim i przezwanym Fiume, otoczyli nas żandarmi. Cywilnie ubranych poproszono grzecznie lecz stanowczo o zdjęcie odznak złotych i wszelkich innych niewianych blaszek, chorwackim zaś druhom, przywdzianym jeszcze w strój sokoli, nie pozwolono wyjść na miasto i dopiero po pertraktacjach, dozwolono tramwajem dosięgnąć innych środków komunikacyjnych. — Zupełnie jak na barbarzyńskim Wehodie.

Wnet jednak miłe chwile opowiadań trzeba było zakończyć, czas biegł nieprzerwanie, urlopy się kończyły. Ten i ów został na miejscu lub wracał do Rjeki, inni wybrali się na wycieczkę do Wenecyi, do wysp Briónskich, bładzili po wybrzeżu podziwiając nadpływającą eskadrę, która z okazji urodzin cesarskich jak fata morgana rozświetlała wieczorne zmroki, byli wreszcie i tacy, co podążyli do domu nową alpejską koleją. Jeszcze tu i ówdzie na węzłach drogi żelaznej lub wodnej mijaliśmy się przez dni kilka, witali tem miłej



i żegnali tam smutniej, aż wreszcie i to się skończyło, każdy podążył do swych domowych pieleszy.

### Reminiscencie.

Ja uczynilem inaczej. Niefortunny nasz występ w Zagrzebiu wobec mnogości tamże Bułgarów, Czechów i Serbów, z entuzjazmem przyjmowane mowy niektóre, do nas pośrednio lub bezpośrednio się odnoszące a nie skomentowane ani sprostowane, bo czasu ni sposobności a wreszcie ludzi nie stało, wszystko to nie dało mi spokoju, nie pozwoliło inaczej, jak wrócić się do Zagrzebia. I zrobiłem tak. Byłem zresztą dłużny kulka wizyt, między innymi sędziwemu prezesowi Carowi, który mnie złożeniem swej karty zaszczycił jeszcze w drugim dniu bytności mej w Zagrzebiu.

Nie chcę twierdzić, że błędy naszego występu zostały naprawione, bo uczynić to może tylko przyszłość, o ile będzie poprawniejsza niż przeszłość. Udało się może przynajmniej upozorowanie naszej, bez mała nieobecności.

*Les absents ont toujours tort.* — Przysłowie to jest wśród przysłówi może najprawdziwsze. Niobestanie zlotu zagrzebskiego było poważnym błędem. Nie pomoże na to wszelkie tłumaczenie, ale już sposób wysłania delegacji zakrawa wprost na lekkomyślność, z której wytłumaczenia się mamy wszelkie prawo żądać. Nie może dla nas być tłumaczeniem, że członkowie Wydziału związku z powodu leczenia się, nieobecności w Europie, braku urlopu lub t. p. nie mogli wziąć udziału, bo nigdzie nie jest powiedziane, że tylko członkowie tegoż wydziału mają brać udział w delegacjach. Nie można się też tłumaczyć zaskoczeniem w wyborze delegacji, bo termin zlotu był znany a przynajmniej powinien być znany na cały rok przedtem.

Wśród Sokolstwa naszego znaleźby można ludzi wielu, którzy niezawodnie stanowiliby odpowiednią reprezentację, ale trzeba było zadać sobie ten niewielki trud, ich poszukania. Wydział w ostatniej niemal chwili rozpiął wezwanie, aby każdy okręg wysłał po dwóch delegatów. Skutkiem tego wezwania było, że na 7. okręgów wyjechało zaledwie 9 ludzi.

Wydział nietylko że nie poinformował owych delegatów, nietylko że nie dał im żadnej dyrektywy, nie nazaczył przodownika, a co najważniejsza, nie postarał się zawczasu o jednolity, w szerszym znaczeniu, występ polskiej reprezentacji, ale, twierdząc to na podstawie dokumentów, wprost zdezwuował tę garstkę, której do Zagrzebia jechać polecił.

W piśmie, wysłanem do prezesa Związku wszechsłowiańskiego d. Scheinera usprawiedliwił mianowicie Wydział związku to tak słabe obesłanie zlotu tem, że trzech wybitnych członków jest na kuracji, dwóch wybitnych na morzu, a jeden wybitny członek nie może dostać urlopu. Innymi słowy, — zapchajcie biedę tem co posyłamy, bo tamci nie mogą przyjechać.

Nieostrożnością kancelaryjną już tylko nazwijmy fakt, że inne urzędowe pismo Wydziału, również do d. Scheinera niemal równocześnie pisane, nosiło podpis owego druha „na morzu“ się znajdującego. Wszystko to da się może mniej lub więcej gładko wytłumaczyć dzisiaj, przy biurku, ale tam na miejscu były to fakta z którymi trzeba było się liczyć, których tłumaczyć nie było sposobu, których konsekwencję trzeba było przyjąć i ponieść.

Że Chorwaci na zlot Grunwaldzki przysłali tylko skromną delegację, na to mieli oni łatwe wytłumaczenie, gdyż niemal równocześnie odbywał się w Zofii zlot. Na silne obesłanie obydwu zlotów mogło braknąć młodemu chorwackiemu związkowi funduszów a z ręką na sercu przyznać trzeba, że dla nich, tam na Jugu, ważniejszy był zlot bułgarski niż krakowski.

Ale żeby Sokolstwo Galicyi, które niedługo obchodzić będzie swoje pięćdziesięcioletnie istnienie, wysłało delegację tak mało doborową i zgraną, tak słabą ilościowo i jakościowo, tak źle poinformowaną i obeznaną z podobnymi zlotami, tego wytłumaczyć się nie da. Mogliśmy śmiało wysłać bodaj dwa plutony, n. p. z lancami; ale cóż mówić o tem, kiedy niektórzy z delegatów naszych dopiero w ostatniej chwili, niemal tuż przed uchwyceniem ostatniego pociągu, dowiedzieli się o potrzebie wyjazdu.

Niepotrzebne noszenie opasek naczelników w plutonie złożonym z 7 ludzi, (prezes i naczelnik na przodzie), niepotrzebne ostre musztrowanie tych 7 buków raz przed dworcem, drugi raz na placu zbórnym, przed pochodem, gdy wystarczało spokojnie i cicho wydać rozkaz ustawienia się czy cofnięcia, niestawienie się na czas i w odpowiednim miejscu tej garstki, która właśnie dlatego, że szczupła, zdawać się mogła silną jednostką, te i tym podobne usterki mogłyby też nie mieć miejsca.

Niestety były tam błędy poważniejsze. Wydział naszego Związku zawiadomił Wydział wszechsłowiańskiego Związku sokolego, że druhowie Świątkiewicz, Schmidt, Pol, Christ i Niedzielski będą na posiedzeniu wszechsłowiańskiego Związku sokolego w dniu 15-go sierpnia 1911, zastępować Związek polskich gimnastycznych towarzystw sokolich. O tem wiedziano w Pradze i wiedziano w Zagrzebiu; o tem nie wiedzieli tylko ci właśnie, których desygnowano do wzięcia udziału w posiedzeniu, nie wiedzieli z tej prostej przyczyny, gdyż ich Wydział nie uwiadomił. Cóż dopiero mówić o treści porządku dziennego tego posiedzenia, co o stanowisku jakie należało czy nie należało zająć w tym lub owym wypadku. Gdy sprawa się wykryła, gdy się ujawniło, że przyjechali „bezwiedni pełnomocnicy bez pełnomocnictwa“, to chociaż nic nie powiedziano, jednak zdawało się czytać myśli, które na złośliwe niemieckie streszczają się w znanem *polnische Wirtschaft*. I nie wiem dlaczego, ale przyszły mi na myśl słowa



Wypiańskiego: „Miałeś chłopie złoty róg... został ci się jeno sznur“.

O świadomem i odpowiedzialnem przodownictwie pisałem już poprzednio, o jednolitem wystąpieniu w szerszem pojęciu, nie pozwalają rozpisywać się dobrze zrozumiane względy. Należy tylko wyrazić życzenie, aby tego rodzaju rządy, albo raczej ten bezrząd, aby to kompromitowanie nas na zewnątrz równoległe z rozprężeniem i niezdecydowaniem wewnętrznem, nareszcie ustało, abyśmy stali się świadomi naszych zadań i przekazanego nam historycznie zakresu działania i abyśmy także na zewnątrz nie narażali na szwank naszej godności narodowej.

*Gustaw Pol.*

## SEJM SOKOLI

dawniej a dziś.

Niejednokrotnie uskarżano się na suchość, nieproduktywność, a zarazem pewne zamieszanie i — dostrzega się to w ostatnich latach coraz częściej — za małą powagę w obradach dorocznego Sejmu Sokolego. Pochodzi to niezawodnie przede wszystkim z krótkości czasu, bo ma się do rozporządzenia zaledwie jeden dzień, od godziny 10 rano i z południową przerwą. A tu jest tyle spraw formalnych, administracyjnych, kasowych, przedłożeń Wydziału, spraw wyłaniających się dopiero z toku dyskusji, wniosków zgłoszonych i nagłych — w dodatku dyskutowanych i uchwalanych podwójnie, bo i w sekcjach i na plenum, — że nie dziwnego, gdy powstaje pośpiech, niecierpliwość, zbywanie spraw, często nieład i zapomnienie. To urządzenie i te powody, czysto fizyczne, doprowadziły do podwójnie szkodliwego systemu. Przewodniczący, pragnąc wyczerpać porządek dzienny i panować nad tokiem obrad, jest zmuszony — już nie ukrócić wolności słowa, ale często odbierać ją, lub zgłaszających się do słowa wprost nie dopuszczać. Uczestnicy zaś, onieśmieleni, skrepowani przez prezydium, — albo do reszty zrażają się, albo po krótkim, bezskutecznem bronienu się, uciekają, rezygnują z wszystkiego, co mieliby do powiedzenia, z czem ich Towarzystwa na ten Sejm wysłały.

I mniejsza, gdy tak przepadnie niejedna drobna uwaga, interpelacja, jaki szczegół administracyjny, frazes lub fragment, — ale żal, i nie podnosi to chyba celu i wartości Zjazdów naszych, — gdy nie można przed nie przyjść z dyskusją ważną, ze sprawą znaczenia zasadniczego, z krytyką zła jakiegoś, z myślą o przyszłości. Bywały na naszych Zjazdach, przypomną sobie, że jeszcze przed kilku laty inaczej bywało; że takie temata zwykle bywały, a przecież i czas i chęć na to się znachodziły. Czyż dziś jesteśmy już tak doskonali, wszystkie nasze zadania i środki tak ustroiliśmy,

że nie ma nic do wniesienia, rozważenia i poprawienia? Jeżeliby nawet, czy to z powodów owych, o których powyżej wspomnieliśmy, iż obrady utrudniają, a którym ma się w przyszłości zapobiedz przez uchwalone w zeszłym roku zwoływanie Zjazdu na dwa dni, czy z innych np. bierności, obojętności lub nieodpowiedniego składu uczestników Sejmu przez to, że Towarzyszywa wysyłają niejednokrotnie ludzi niebrzygotowanych, nieobznajomionych dostatecznie ze sprawami, braku inicjatywy lub należytego poziomu myślenia ze strony delegatów, — to czyż właśnie nie jest obowiązkiem Wydziału i Prezydium Związku obudzić inicjatywę, nadać wyższy poziom? Przez odpowiednie ułożenie porządku dziennego, bystrość, energię i bezstronność w prowadzeniu obrad, zrozumienie i odczucie życzeń i opinii reprezentowanych i wypowiadanych, przez podkreślenie i rozwinięcie panującej myśli, prądów, uwydatnienie ważniejszych szczegółów — da się chyba i inny ton i inną powagę w zgromadzenie wprowadzić. Tak się nie dzieje, — więc to drugi powód jałowości i nieporządku w naszych Zjazdach.

Dziś, otrzymawszy sprawozdanie Związku, a po przybyciu na Zjazd wzięwszy udział w jego obradach, nabiera się wrażenia, a potem przekonania, że to tylko dopełnienie — i to męczące dla obu stron, Wydziału Związku i Delegatów — formalności statutowej; że trzeba przedłożyć raz do roku jakieś sprawozdanie, wysłuchać je, zrobić parę podrzędnych, niewinnych uwag, przyjąć rachunki, dokonać wyboru — no i na tem koniec, bo nie ma czasu, albo... nie ma potrzeby. Więc też, gdyby tylko o ten biurokratyzm szło, czy nie dośćby było kilkunastu delegatów z Okręgów? Bo nie na to zjeżdża się stu kilkudziesięciu reprezentantów Towarzystw, by kwestyonować lub aprobować pozycje kasowe, zrewidowane zresztą przez osobną komisję, podnosić usterkę w jakim zarządzeniu gospodarskiem, gdyż takie rzeczy można inną drogą poruszać i prostować. Ale zgromadzamy się z całego kraju, z najdalszych stron, — celem wymiany myśli, poruszania najważniejszych zdarzeń, naradzenia się nad dalszą lub lepszą organizacją czy planami na przyszłość, bądź w formie uchwał, bądź dyrektywy Związkowi — i to przedstawia się jako część prawodawcza Zgromadzenia; a dla omówienia działalności Związku w zasadniczym kierunku, dla sprawdzenia, czy Związek jest wyrazem ogółu Sokolstwa, i nawzajem czy Sokolstwo udziela poparcia swemu Związkowi — to znowu niejako kontrola i uznanie egzekutywy naszej.

Tak pojęty i przeprowadzony Zjazd możemy dopiero nazywać Sejmem sokolim, z takiego Zjazdu możemy powracać do domów naszych zadowoleni, pełni dobrych wrażeń, pokrzepieni i ochotni do dalszej pracy, nie żałujący swoich trudów i kosztów. Piszący te słowa, od lat 14. bierze stałe udział w Zjazdach, — a iluż jest starszych odemnie uczestników, — i jakże dumni bywaaliśmy: z ważności poruszanych spraw, z godności ca-



tego zebrania, z wygłaszanych mów, polemik, nawet starć pomiędzy wyznawcami lub całymi obozami, o pewną ideę lub sprawę — a po wzajemnem przekonaniu się, lub choćby przegłosowaniu — z tego poddania się większości, i wspólnej zgody, bez cienia żalu, serdecznie i bez zastrzeżeń, — z owych nawet docinków i satyr, jakich sobie po stoczonych kampanii nie szczędzono...

A wszystko miało tyle głębokiej treści i takie formy, że nazywano słusznie nasze Zjazdy znakomitą szkołą parlamentaryzmu i występowania w życiu obywatelskiem publicznem.

Przypominam sobie, jak niejednokrotnie z całym zapałem namawiałem i zachęcałem bliższych i dalszych druhów, by jako delegaci wybrali się bodaj raz na nasz ogólny Zjazd, by poznali to nasze najwyższe i najpoważniejsze miejsce, skąd czerpiemy wspólne wskazania i siłę dla jednolitej ideowej i organizacyjnej pracy.

Dziś nie odważyłbym się namawiać do tego; obawiałbym się, że z oczu i myśli uczestnika odczytałbym zawód, zdziwienie, i obawiałbym się, aby po powrocie do swego Gniazda nie zraził się nawet do tej swojej miejscowej, w mniejszym zakresie roboty. Dziś nawet ci starzy, którzy od lat wielu biorą udział w Zjazdach czy to dla bezpośredniego zajęcia się danymi tam sprawami, czy dla poznania ich niejako u źródła i tem skuteczniejszego przeniesienia następnie na grunt domowy, — zdają się ulegać zniechęceniu, sceptycyzmowi.

Bo dziś inaczej. Czuje się jakby zgubienie myśli przewodniej, błąkanie — u dołu, a załamanie linii kierowniczej u góry. Co więcej — zatracenie kardynalnego pojęcia, że Związek to nie kilkunastu członków Wydziału jego, nie kilku członków lwowskiego Przewodnictwa, — ale właśnie ten Sejm Sokoli. A w tem zatraceniu dochodzi się do tego, że znika wspólność, — a wzmagą rozbieżność obu instancji — niekiedy wzajemne pomijanie się, nawet przeciwdziałanie sobie.

Wystarczy uczestnikom ostatnich kilku Zjazdów przypomnieć sobie ich przebieg, aby poznać, jak tam w dyskusji nie ścieramy się, nie zwalczamy, jak powinniśmy być, — ale wprost unikamy się lub nie chcemy rozumieć.

Wystarczy przeglądnąć protokoły i sprawozdania z tych Zjazdów, drukowane przez Związek, aby dostrzedz, jak chcąc czy nie chcąc, przemilecza się te i owe głosy lub opinie, nie daje im należytego wyrazu, nie puszcza do wiadomości ogółu.

Wystarczy wniknąć w zarządzenia Związku, często niewiadomo, skąd i na jakiej podstawie wydane, — a z drugiej strony w coraz częściej i liczniej objawiające się samodzielne, bez wiedzy Związku, nowe sposoby i praktyki w różnych dziedzinach poszczególnych Towarzystw. To wszystko, fakt za faktem, krok za krokiem, wytworzyło, że w tym Sejmie myśli się i robi

co innego, a co innego w Związku, jako władzy naczelnej, — jakby to były dwa oderwane organizmy, o innej woli i innej ręce.

Więc to trzecia i najważniejsza przyczyna osłabienia naszego Sejmu, jego upadku we formie i treści, — przyczyna apatii i zniechęcenia jego uczestników. Bo Sejm to słaby, gdy ze swoim rządem zespolić się nie może, a nowego wytworzyć nie umie.

I dlatego żal za dawnymi Sejmami, gdy mimo walk, mimo różnic, ów zespół umiał i musiał być utrzymany.

— sz —

## SPRAWY OKRĘGU I.

**Uchwały Zjazdu Delegatów z d. 1. października 1911.**

1) Organ Okręgu *Przegląd Sokoli* będzie dalej wydawany na rok 1912 — jak dotychczas miesięcznie i doręczany wszystkim Towarzystwom w Okręgu w ilości egzemplarzy 5<sup>0</sup>/<sub>0</sub> liczby członków. Dotychczasową prenumeratę, do jakiej były obowiązane Towarzystwa, znosi się od 1. stycznia 1912 — a natomiast włącza się ją do ogólnej wkładki (obacz uchwałę poniżej pod 2). Za większą ilość egzemplarzy, oraz dla wszystkich innych abonentów, pozostawia się tę samą prenumeratę tj. 3 K. rocznie — numer pojedynczy — 30 h.

2) Wkładkę do Okręgu na rok 1912 ustanawia się w wysokości — 50 h. od członka według stanu z d. 31. grudnia 1911.

**Nie obeszły ostatniego Zjazdu Delegatów Okręgu w Bochni** — ani nie usprawiedliwiły się z tego następujące Towarzystwa: Bieńczyce, Dąbrowa, Dobczyce, Dziedzice, Frysztat, Janowice, Jaworzno, Karwina, Lutynia polska, Łąki, Michałkowice, Mogiła, Myślenice, Orłowa, Oświęcim, Pietwałd, Polska Ostrawa, Ropica, Siersza wodna, Skrzeczów, Sucha górna, Trzyniec, Wędrynia.

W myśl dawniejszych uchwał wytyka się im zaniedbanie tego obowiązku, spełnianiem którego rozwija się wspólną myśl i pracę w zakresie Okręgu a przez to i we wszystkich Gniazdach doń należących.

Z Wydziału Okręgu I.

**Przyjęte do Związku i Okręgu I.** — nowe Gniazdo w Gruszowie, na Śląsku, z policzeniem od 1. lipca 1911.

Podanie o przyjęcie do Związku wniósł nowy Sokół w Choczni, koło Wadowie — z wnioskiem Okręgu przychylnym.